

DŻUNA



Trudno wymienić dzisiaj drugie imię, które w krótkim czasie stałoby się tak znane w naszym kraju. Znani poeci poświęcają jej sztuce leczenia, przepelnione zachwytem wiersze. Malarze i rzeźbiarze rysują i rzeźbią jej portrety. Autorytatywni naukowcy nawet wprowadzili termin „fenomen Dżuny”.

Wielu zadaje sobie pytanie: W czym tkwi przyczyna tego niebywałego sukcesu? Jak tej kruchej, pięknej kobiecie, niezwyklej i swoistej, udało się tak szybko i mocno przyciągnąć do siebie i swojej sprawy gorące i niesłabnące zainteresowanie, wywołać taką ilość dyskusji i sporów?

Jednoznaczna odpowiedź, jest tu chyba niemożliwa. Ma na to wpływ zarówno nieprzeciętna osobowość Dżuny i efektywność metod jej leczenia, jej przekonująca szczerość, ogromne i ofiarne zaangażowanie we wszystkim, co robi.

Sensem życia Dżuny stało się leczenie ludzi, o czym wie chyba każdy. Ale każdego na pewno ciekawi: na czym opiera się jej leczenie, na magii albo...

O tym będzie mowa za chwilę, a tymczasem o samej Dżunie... Jest ona Asyryjką, a Dżuna w języki asyryjskim - to, Eugenia.

Asyryjczycy (assory, aturany) - naród w krajach Bliskiego Wschodu, USA, terytorium byłego ZSSR. Ogólna liczebność waha się w granicach miliona. Język asyryjski, odnoszący się do semickiej gałęzi, ma własne pismo na bazie syryjskiego alfabetu.

- Pochodzę z głębokiej prowincji, ze stancy Asyryjska na Kubaniu - opowiada Dżuna dziennikarzowi A. Morgaczewowi (cit. z książki „Lecznicze seanse Dżuny” - Mn., 1991) - Razem czterdzieści domków. Ona, ta wioseczka, jest mi najdroższa na świecie. Ja i teraz tam często bywam...

- We wsi zawsze wierzono w czarowników, wiedźmy, domowe duchy. Do czego bliżej Dżunie - do nauki czy magii?

- Wieś i dzisiaj w to wierzy. Widocznie, nie bez powodu. Tak naprawdę, dlaczego, gdy ktoś umiera, pęka lustro, zatrzymuje się zegar? Słowo „wiedźma”

wywodzi się od „wiedzieć” i „wyższe sfery”. Co wiem? Wiem, że posiadam energetyczne pole, które uczeni wykryli u wszystkich żywych organizmów. W tym polu są praktycznie wszystkie znane fizyce formy energii. Tylko, jedni ludzie mają silniejsze pole, inni słabsze.

W naszej wsi kultywowano obyczaje i wierzenia, odchodzące w głęboką starożytność. Ja, na przykład, dotychczas, kiedy nalewam wrzątek, mówię: „Szimy Ała!” („W imię Boga!”). Ja, jakby przypominam tym niewidzialnym istotom (jeśli wolicie, duchom), które mogą przebywać pod strumieniem gorącej wody, że nie zapominam o nich. Tak uczyli mnie rodzice.

Dawna Mezopotamia, na której ziemiach osiedlali się wojowniczy Asyryjczycy, szczyliła się swoimi lekarzami, którzy znajdowali się pod protekcją boga medycyny Ningiszidda (jest on przedstawiany w postaci węża, owijającego laskę - emblemat, który zachował swoją symbolikę do dziś). Darem uzdrawiania byli obdarzeni także inni bogowie assyryjsko-babilońskiego panteonu. Wśród nich była bogini Bau, stwórczyni życia. Uważano, że ona uzdrawia dotknięciem rąk. Pamiętam, że w mojej rodzinie były kobiety, które czciły tę boginię...

Swój związek z przeszłością posiadam także przez prababcię, która przeżyła ponad sto lat. Pamiętam ją jak przez mgłę. Robi jakieś ruchy rękami, głaszcze, coś szepcze, bierze gałązkę i wykonuje nią koliste ruchy nad chorym i znowu coś szepcze. Te jaskrawe obrazy wbijały się w moją pamięć. W dzieciństwie, bawiąc się, próbowałam naśladować jej ruchy, podszeptując albo nucąc coś swojego, rodzącego się w mojej wyobraźni. Ile chorób mogła wyleczyć moja prababcia? Nikt nie był w stanie odpowiedzieć... Ale i ja, potrafiąca dzisiaj bardzo wiele, dotychczas nie wiem, jak zlikwidować przepuklinę, a ona to robiła. I jej córka, siostra mojej babci, także leczy przepuklinę dotknięciem dłoni. A co do mojej mamy, to nie posiada ona żadnych zdolności uzdrowicielskich, natomiast bardzo smacznie gotuje...

Przodków po ojcu, także z okolic jeziora Urmija, nie znam. Mój ojciec, Juwasz Sardis, w latach przedwojennych przyjechał do Związku Radzieckiego z Iranu w swoich sprawach, tu się ożenił, osiadł w naszej wsi i przepracował całe życie w kolchozie.

Każde dziecko otrzymuje coś po ojcu i po matce, ale ja, jak twierdzą krewni, - jestem dokładną kopią swojego ojca. Dla mamy byłam zbyt dziwna, przerażały ją moje liczne wybryki, często mnie karała, a ojciec kochał mnie niezmiernie.

Ojciec potrafił czasami przepowiadać przyszłość. Pewnego razu, kiedy siedział przy stole z przyjaciółmi, którzy byli starsi od niego, ojciec niespodziewanie powiedział, przy czym powiedział to poważnie i ze smutkiem, że przyjdzie mu umrzeć wcześniej, niż im. Przyjaciele nie uwierzyli ojcu, ale tak się jednak stało...

Ojciec rozumiał mnie, jak nikt inny. Kiedy dowiedziałam się, że po wsi krąży pogłoska, że ja jestem „szyddą”, tj. „wiedźmą”, powiedziałam ojcu, że ucieknę z domu, ale on uspokoił mnie. Pamiętam, nastąpiła noc i ojciec zaczął opowiadać mi o gwiazdzistym niebie. Wtedy właśnie, pod dużymi i jasnymi gwiazdami po raz pierwszy nawiedziło mnie odczucie, że żyję równocześnie, tu na Ziemi i na tysiącu innych planet, i w żaden sposób nie mogę pozbierać siebie razem...”

W dzieciństwie Dżunie przydarzył się pewien wypadek, który mógł zakończyć się dla niej tragicznie. Opowiedziała o tym W. I. Kuzikowi - doktorowi nauk medycznych i parapsychologii (cit. z niedużymi skrótami z książki W. I. Kuzika. „Dżuna, Wanga i inni”. - M, „Radio i łączność”, 1995).

- W naszej rodzinie było dużo dzieci. Najbardziej dokuczał mi młodszy brat. W tym czasie, był w wieku zaledwie dwóch lat i mama zmuszała mnie bym go pilnowała. A ja tak chciałam uciec by pobawić się ze swoimi rówieśnikami. Ale co miałam robić – brat, to brat. Pewnego razu niosłam go na rękach koło głębokiej studni w naszym podwórzu. I nagle, jakaś nieznaną moc wyrwała mi go z rąk i z siłą

wrzuciła do studni!.. Momentalnie zanurkowałam do niej, a ona okazała się głęboka i wąska, obrócić się w niej nie mogę... Wypchnęłam brata nogami ze studni, a sama nie mogę wydostać. Nie wiem, ile czasu tam znajdowałam się, myślę, że nie mniej niż pięć minut. Braciszek pobiegł do domu i zaczął wołać mamę. Ona nic nie rozumie, a brat z sensem wyjaśnić nie może, bo wtedy prawie nie umiał mówić. Mama wyskoczyła na ganek i zaczęła mnie wołać. Brat podbiegł do studni i paluszkami pokazuje - niby to, tam jest ona. Kiedy matka zrozumiała, że jestem w studni, to natychmiast zemdląca. Dobrze, że Wołodia (brat) był w domu, on mnie wyciągnął. I co jest najbardziej dziwne! W moich płucach nie było ani kropli wody i nie straciłam świadomości...

To nie jedyny cud, który mi się przydarzył w dzieciństwie. Jakoś przepowiedziałam trzęsienie ziemi, ale nikt mi we wsi nie uwierzył i okrutnie zapłacili za to.

Po trzęsieniu ziemi, w naszej niedużej wsi zaczęli się odnosić do mnie bardzo źle. Chłopcy wyzywali „szyddą” - wiedźmą w asyryjskim, nie pozwalali przejść.

A ile wycierpiałam szyderstw, kiedy studiowałam na uniwersytecie narodowym. Nauczyciele w żaden sposób nie mogli się pogodzić z tym, że mogę leczyć bez użycia lekarstw. Jeden z profesorów w trakcie egzaminu państwowego powiedział do mnie:

- Chcesz otrzymać dyplom, zeszyj ranę bez igły i ligatury.

No, myślę, wszystko przepadło. Nie ma mowy o otrzymaniu dyplomu i nagle usłyszałam głos mego ojca. Tak, tak, proszę się nie dziwić, wyraźnie usłyszałam jego głos:

- Żeniuszka, sklej. Żeniuszka, sklej.

Zrozumiałam, że trzeba skleić brzegi rany. Na szczęście okazało się, że rana chorego jest cięta, brzegi są równe. Zaczęłam przyciskać je, jeden do drugiego, szepcząc do siebie: - skleją się, skleją się, skleją się.

Nie mogę dokładnie powiedzieć, ile czasu czarowałam nad chorym, ale brzegi się skleily. Widziały to cała komisja państwowa i otrzymałam dyplom...

- Dżuno, a jak znalazłaś się w Moskwie? - kontynuuje rozmowę z Dżuną B. I. Kuźnik.

- No, to szczególna historia. Mój mąż zajmował w Tbilisi dość wysokie stanowisko. Ze względu na niego i przy pomocy bardzo wpływowych ludzi dostałam się do Moskwy. Najpierw mieszkałam w hotelu. A kiedy o mnie przychylnie wypowiedział się Breżniew, przydzielili mi mieszkanie. Jak widzicie, mieszkanie jest niezłe, w centrum miasta, ale bardzo ciasne. Proszę mi wierzyć, czasami tylu krewnych mnie odwiedza, że nie mam gdzie położyć ich do spania. Śpią nie tylko na podłodze w pokoju, ale i w przedpokoju...

- Wiecie, jak kocham Wacho. Pewnego razu, gdy miał zaledwie sześć lat, zachorował. Diagnozę postawiłam natychmiast - mięsak biodra. Temperatura bardzo wysoka, umierał. Wtedy zdecydowałam, że umrę razem z synem. Trudno o tym nawet wspominać. Dziesięć dni od niego nie odchodziłam na krok. Spaliśmy razem. Prawie nic jadłam. Głaskałam i głaskałam jego chorą nogę, ani na chwilę nie odrywałam ręki od chorego miejsca i oto w dziesiątym dniu rana otworzyła się. Musielibyście zobaczyć, ile wydzielilo się ropy! A potem wszystko poszło ku lepszemu. Stopniowo rana zaczęła oczyszczać się i teraz - tfu, tfu, tfu! – Mój syn zdrowy...

- Ale podczas swojej choroby Wacho także uratował mnie. Był mały, ale zrozumiał, że mogę umrzeć. Przecież tyle dni nic nie jadłam. Pamiętam, w pewnym momencie straciłam świadomość, a on nie odchodził ode mnie, objął rączkami za

szyję i nie puszcza. Kiedy ocknęłam się, myślałam, że minęła minuta. Popatrzyłam na zegarek - głęboka noc. Proszę tylko pomyśleć, ile czasu nie odchodził od mnie, bał się zostawić. Jestem pewna, że chociaż był bardzo słaby, oddał mi część swojej energii. Tylko dlatego nie umarłam”.

Jak wiadomo, w naszym kraju, i w wielu innych państwach, prawo do leczenia mają tylko dyplomowani lekarze. Dżuna ukończyła naukę na Wydziale Służby Zdrowia Uniwersytetu Narodowego w Tbilisi. Otrzymała dyplom pielęgniarki, ale dyplomu lekarza, nie ma nadal.

W jaki sposób zaczęła leczyć? Na czym się opierając? Okazuje się, że ona nie leczy jak lekarz. Ona jest fachową masażystką. Palce ma niezwykle - długie, giętkie, silne, bardzo plastyczne, zdumiewająco piękne.

Zajmuje się masażem, ale - bezkontaktowym. Tylko czasami masuje tradycyjnym sposobem. Po prostu, zajmując się masażem, diagnozuje i czasem leczy, nie dając żadnych zaleceń, leków, tabletek, ziół i tak dalej, nie unieważniając żadnych zaleceń lekarskich. W świetle prawa - ona jednak nie leczy... A w praktyce...

FRAGMENTY LISTÓW

Już po drugim seansie poczułem się dobrze. Kardiogram stabilny. Serce pracuje mocno i pewnie. Mogę teraz szybko chodzić i biegać...

Poza tym przyjechałem tu, żeby studiować osiągnięcia Dżuny. Słyszeliśmy o nich w Holandii i niemało czytałem o tym w literaturze naukowej. Dżuna jest dobrze znana zarówno w Europie, jak i w USA. Widziałem ją kilkakrotnie pracującą z pacjentami i byłem porażony zakresem i całokształtem jej działań. Także rozmawiałem z niektórymi pacjentami i lekarzami i doszedłem do wniosku, że jej leczenie dorównuje działaniu realnego i efektywnego lekarstwa. Wiem, że ona ratuje życie w najcięższych przypadkach chorobowych.

James Differes, profesor, holenderski medyk.

Przekazuję serdeczną wdzięczność Dżunie za jej lecznicze seansy, jej lekcje. Przekazuję tej kochanej, zawsze młodej kobiecie najogromniejszą wdzięczność za to, że ona podąża z pomocą do ludzi, przekazuje nam dar zdrowia, dany jej z nieba. Składam hołd Dżunie, jej mądrości, dobremu sercu. Dziękuję Ci, Dżuna. Życzę długiego życia, byś mogła długo siać dobro wśród ludzi.

Z poważaniem, Ł. I. Kulczyk
Odessa obł. m. Bieriezowka.

W 1977 roku zdiagnozowano u mnie opuchliznę. Bóle głowy wywoływały nawet zatrzymanie akcji serca. Cierpiałam z powodu duszniczy bolesnej, poważnego nadciśnienia tętniczego. Zaproponowano operację. Ryzyko było tak wielkie, że nie zdecydowałam się na nią. Zwróciłam się do Dżuny. Po jej leczeniu bóle głowy bywają, ale kiedy bardzo mocno się zmęczę. Dolegliwości sercowych teraz zupełnie nie odczuwam.

A. Zawidowska.

Chorowałem na wrzód odbytnicy. Leczyłem się w instytucie proktologii w Moskwie i innych miastach. W Tbilisi mi dwa razy proponowano operację. Trafiłem do Dżuny. Po drugim seansie leczenia bóle ustąpiły. Ogółem było piętnaście seansów. Czuję się doskonale.

K. Tegiz

I tak dalej i tak dalej... Opinie dotyczą licznych chorób i są w różnych językach...

Po przyjeździe do Moskwy Dżuna poznała licznych artystów. Ale szczególne stosunki łączyły ją z Arkadijem Rajkinym. Do momentu poznania Dżuny on stał się inwalidą. Chodził o kulach. Do mieszkania Dżuny dotarł z ogromnymi trudnościami, bez pomocy innych, nie mógł się poruszać.

„Po pierwszym seansie - pisze A. I. Rajkin - poczułem się znacznie lepiej. Po jednym zaledwie seansie! A seans trwał nie więcej, niż 15-20 minut. Po prostu nie poznawałem siebie, swojego ciała. Miałem świetne samopoczucie. Wcześniej ból serca nie opuszczał mnie, a tu nagle zniknął. Przestałem odczuwać serce... Z każdym seansem czułem się lepiej i lepiej. Dżuna przeprowadziła 13 seansów i mnie, człowieka, który wychodził z sanatorium o kulach, uczyniła nie do poznania. Lekarze niestety, nie byli w stanie mi pomóc... Błogosławię jej. To wspaniały uzdrowiciel. To, co ona robi, to zadziwiające”.

To fragment opinii, którą napisał Arkadij Rajkin. Przed spotkaniem Dżuny, przypuszczał, że pracować więcej na scenie nie będzie w stanie. Jak liczni wiedzą, wkrótce A. I. Rajkin znowu zjawił się na estradzie. Co więcej, zajął się organizacją teatru w Moskwie. I zdania o Dżunie nie zmienił do śmierci.

Wiele pięknych słów napisał o Dżunie Rasuł Gamzatow: „Kiedy przyszedłem do Ciebie, byłem podobny do dosłownego przekładu wiersza, w którym zabrakło rymu, rytmu, gdzie była zburzona harmonia, piękno i melodia śpiewnych słów. Od Ciebie wyszedłem, niczym oryginalne tłumaczenie. Przywróciłaś mi żywą duszę poezji i uwolniłaś od skrzepowania...”

Portret Dżuny nakreślił także Robert Rożdżestwienski:

Ręce Dżuny cudownie leczące,
- Z właściwością tą przyszła na świat,
Wbrew nauce, nadzieję dające,
Wielu ludziom cierpiącym od lat...
Czarny łabędź, co wzbija się w górę,
W swoich skrzydłach tajemną moc ma,
Obcym ludziom chorobę, jak chmurę
Z niebios zdrowia, usuwa co dnia.
Jak wirtuoz palcami przebiera
Wyszukując zmienionych pól,
Niczym szybę zamgloną przeciera,
Szybę, którą zasmużył już ból.
Nie uwierzę! Zastygły momenty.
Nie uwierzę. Otwarte już drzwi.
Zniknął ból... Ale ja wciąż nie wierzę!
Twoja wola, jak chcesz, nie wierz mi.
Pochylona nad chorym jej postać,
Gwiazdka nic się wysnuwa z jej rąk
Nie uwierzyć – to łatwe i proste,
A wyjaśnić, to już chęci brak...
A jeśli, sumieniem ruszona,
Ręce Dżuny, przez przestrzeń i czas
Nam dała Opatrzność skruszona?
Za oknami w jasności świat tonie.
W pokoju cierpienie stłoczone.
Po fantomie ślizgają się dłonie,
Śle energię Dżuna zmęczona...

Na bulwarach się drzewa zielenią,
Powiew wiosny nadzieję im dał...
Dżuna ludzi obdarza nadzieją,
Przywracając harmonię ich ciał

„Pewnego razu - opowiada Dżuna (cit. z książki B. I. Kuźnika „Dżuna, Wanga i inni – M., «Radio i łączność”, 1995) – zwróciła się do mnie o pomoc matka z dwojgiem dzieci - Żenią i Andriuszą. Starszy syn Żenia urodził się o czasie i w doskonałym zdrowiu. Ale stopniowo kobietę ogarniała coraz większa trwoga - dziecko nie reagowało na dźwięki. Do roku chłopiec nie przemówił i wtedy matka zwróciła się do otolaryngologa. Wówczas wyjaśniło się, że Żenia jest głuchy od urodzenia. Wtedy kobieta zdecydowała urodzić drugie dziecko. Niestety, drugi chłopiec także okazał się głuchy. Co może zrobić nieszczęśliwa matka z dwojgiem głuchych dzieci? Kobieta podejmuje działania. Nauczyła się języka głuchoniemych i co wieczór przed snem opowiadała bajki, które zawsze kończyły się cudami. Ale pewnego razu młodszy syn Andriusza, wysłuchawszy bajki, zapłakał i zapytał:

- Mamo, kiedy przyjdzie dobry czarodziej i wyleczy mnie i Żenię?

Co powinna była odpowiedzieć mu nieszczęśliwa kobieta? - Przyjdzie - powiedziała ona – miejcie tylko nadzieję i czekajcie. Tak żyli obaj bracia długie lata. Starszy chłopiec, kiedy dorósł, ożenił się, ale jego żona, urocza młoda kobieta - także była głuchoniema.

Nie wiem, jak rodzina o mnie usłyszała, o mojej metodzie leczenia, ale pewnego razu cała trójka zjawiała się w moim domu. Badając braci, zrozumiałam, że mogę im pomóc. Obaj zachowali słuch, ale do tego, żeby mogli usłyszeć dźwięki, trzeba było wystrzelić nad uchem z armaty. Nie przesadzam, tam były załączki słuchu.

Uf, z jakim zapałem i uporem pracowałam! Czasami ogarniała mnie rozpacz, chciałam rzucić wszystko i uciec. Tyle chorych dookoła czeka na moją pomoc, a ja tracę dużo czasu dla głuchoniemych braci. Ale kiedy przemówił młodszy... Nigdy nie zapomnę tego dnia. Pierwsze słowo, które powiedział, było „mama”. Zwrócił się z tym słowem do mnie. A potem przemówił także starszy. A najwięcej zależało od samych braci, od ich wytrwałości i uporu. Obaj teraz słyszą i mówią. Ich nazwisko - Anochin...»

Będąc barmanką, pielęgniarką, piosenkarką, aktorką filmową, trafiła w końcu Dżuna do naukowców. Ci zdziwili się: jej ręce w „robotycznym reżimie” nagrzewały się tak, że ciepła wystarczało do ogrzewania ciała innego człowieka na odległość. Tę energię Dżuna przeprowadza bezkontaktowy masaż chorego (metodą „nakładania rąk”), na czym właśnie opiera się jej metoda leczenia. To, że jest to fizyczne oddziaływanie; a nie hipnotyczna sugestia, potwierdzono licznymi doświadczeniami. Na przykład, takim: między ciałem pacjenta i rękami Dżuny ustawiano szklaną ściankę, nie przepuszczającą promieni podczerwonych. Pacjent niczego nie odczuwał. Usuwano przegrodę - zaczynało się oddziaływanie.

Ale co to za zagadkowa, zbawienna energia, której istnienie liczni naukowcy poddają dotychczas w wątpliwość?

Wielu uczonych - A. A. Gurwicz, W. P. Kaznaczejew oraz P. W. Gulajew i E. E. Godik – odkryło obecność pól energetycznych dookoła żywych organizmów wszystkich gatunków. W składzie tych pól znajdują się praktycznie wszystkie znane fizyce formy energii.

Nowoczesna nauka przyzwyczaiła się wierzyć wskazaniom przyrządów, ale przyrządy w dziedzinie bioenergii zachowywały dotychczas milczenie. W ten sposób, najdawniejsze przejawy niezwykłych możliwości człowieka, nauka była w stanie częściowo przechwytywać dopiero dzisiaj i to z pomocą najnowszych osiągnięć

swojej badawczej techniki. Ale jakim sposobem, nasi dalecy poprzednicy, badacze starożytnego wschodu, nie mając w ogóle jakichkolwiek przyrządów, choćby w niewielkim zakresie przypominających nowoczesne, zdołali stworzyć zgrabne teorie bioenergetyki człowieka, potwierdzając ich zasadność najważniejszym kryterium prawdy - praktyką, rozwinąwszy wysokoefektywne teorie akupunktury, hipnozy, autotreningu, różnorodnych odmian karate, kung-fu, aikido i in.

Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach, zaczęło się stopniowe przechodzenie od ogólnego odrzucania całego dawnego doświadczenia ludzkości, pojęć o bioenergetyce organizmu człowieka, które dopiero uczymy się rejestrować przy pomocy aparatury, do ogólnościowego wykorzystania rzeczywistych jej możliwości.

Ludzie, przyzwyczajeni do cudów nauki i techniki, zaczynają rozumieć, że niezwykle możliwości człowieka, ze wszystkimi ich cudownościami, muszą mieć (choćby na razie nie rozszyfrowane) obiektywne, wewnętrzne mechanizmy, które można i trzeba zrozumieć i rozumnie używać.

Uzdrowiciele, działający metodą „nałożenia rąk”, znani byli od dawna. Ale Dżuna, prawdopodobnie, jako pierwsza w naszym kraju stała się obiektem wszechstronnych badań fizyków, fizjologów, lekarzy po tym, jak została zaliczona do stanu osobowego Instytutu Radiotechniki i Elektroniki (IRE) Akademii Nauk ZSSR w charakterze starszego współpracownika naukowego.

Zadziwiające doświadczenia przeprowadził z Dżuną profesor Arsenij Nikołajewicz Miedielanowski. O jednym z nich warto opowiedzieć szczegółowo.

Dżuna ma przed sobą żabę z uszkodzonym rdzeniem kręgowym i otwartą klatką piersiową. Można obserwować, jak pracuje jej serce. Ponieważ ma uszkodzony rdzeń kręgowy, do serca nie mogą iść impulsy za pośrednictwem tzw. nerwów sympatycznych, wzmacniające i przyspieszające pracę serca. Ale serce żaby pozbawione jest także współczulnego unerwienia, a więc, przez system nerwowy nie można zmniejszyć rytmu i siły skurczów serca. Ale, być może, przy pomocy energii, generowanej rękami człowieka, uda się zmienić działanie pozbawionego nerwów serca?

Dżuna podchodzi do żaby i zbliża do jej serca rękę. Serce po chwili „odzywa się” na działanie Dżuny. Mija kilka minut i przyrządy rejestrujące bardzo czulej aparatury, zaczynają wykazywać, że rytm pracy serca zmałał. W tym momencie zaczynają się cuda, które nawet najbardziej pomysłowemu fantaście nie mogłyby przyjść do głowy. Analogiczne passy Dżuna wykonuje nad wolontariuszem, który znajduje się w innym kącie laboratorium. Po kilku minutach, zmienia się jego ciśnienie tętnicze, częstotliwość uderzeń serca i oddechu. Ale co się dzieje z izolowanym sercem żaby - przecież o nim Dżuna „zapomniała”? Okazuje, że serce żaby „nie zapomniało” działania rąk Dżuny.

Rejestrujące przyrządy pokazują, że teraz ono bije o wiele mocniej i częściej. Otóż to! Okazuje się, że izolowane serce żaby, pobiera energię rozruchu, wytwarzaną rękami ekstrasensa, przez pośrednika - serce wolontariusza!

W latach 1982-1985, G. Dżuna setki razy demonstrowała oddziaływanie na dystans, bezkontaktowy masaż, ogrzewanie na odległość, podczas którego, po kilku minutach, jej dłoń rozgrzewała skórę poddawanych doświadczeniu o kilka stopni. Hipnoza przy tym została wykluczona.

Do żaby podchodzi współpracownik laboratorium i próbuje oddziaływać na nią przy pomocy rąk. Żadnego efektu - serce bije w tym samym rytmie i z tą samą siłą. Podchodzi drugi - analogiczny wynik.

W tym samym czasie, przeprowadzano także inne eksperymenty z udziałem Dżuny. Rzecz w tym, że zdolności Dżuny do bezkontaktowego masażu, w jakiś zagadkowy sposób wiążą się z inną, jeszcze bardziej zagadkową możliwością

człowieka: postrzegania na odległość, wyłączając pośrednictwo wykorzystywanego zazwyczaj środka łączności, tj. telepatii, a także przepowiadania przyszłości.

Taki eksperyment przeprowadziła grupa amerykańskich badaczy, przy wsparciu uczonych działu teoretycznych problemów Akademii Nauk ZSSR. O przebiegu tego eksperymentu, opowiedział na stronach „Moskiewskiej Prawdy” z 23 lipca 1989 roku Lew Kołodnyj:

„...Kierownik grupy, biofizyk Russell Targ poprosił Dżunę, by opisała okolicę w jednym z miast USA, gdzie po upływie sześciu godzin, od rozpoczęcia doświadczenia, zjawi się niejaka Keith Harari, Amerykanka, zaproszona do uczestnictwa w tej próbie. W momencie pobytu ekipy na Arbacie, ona spała na drugim krańcu kuli ziemskiej i nie wiedziała, dokąd uda się rankiem...

Taka fantastyczna propozycja fizyków wywołała z początku ze strony Dżuny stanowczy sprzeciw. Tego wieczoru nie zamierzała się wysilać, wróciwszy z pracy w Instytucie Radiotechniki i Elektroniki, chciała tylko w świątecznym nastroju podjąć Amerykanów, których znała od dawna, uroczystym obiadem.

Dopiero po długich namowach, wyraziła zgodę, by wypróbować siebie w nowej roli. W związku z tym, musiała usiąść w fotelu i wysłuchać warunków eksperymentu. Były one proste i zrozumiałe nawet dla dziecka. Dżuna musiała zobaczyć, dokąd skieruje się nieznana jej Amerykanka w San Francisco po tym, jak eksperyment na Arbacie zakończy się, a sama Dżuna ułoży się do snu...

Amerykanie, którzy przybyli do Moskwy, wcale nie mieli wątpliwości, że człowiek posiada zdolności „opisu oddalonych miejscowości, przedmiotów i zdarzeń, których nie można zobaczyć tradycyjnym sposobem”. Ten niezwykły dar człowieka przez dwadzieścia lat badano w jednym z laboratoriów USA – „SRI International” i w innych centrach naukowych; rezultaty badań zostały opublikowane. Jak powiedzieli mi Amerykanie, doktor Robert Jahn, dziekan Wydziału Elektroinżynierskiego Uniwersytetu w Princeton przeprowadził i sprawdził 230 eksperymentów w zakresie zdalnego sterowania widzeniem. Tego wieczoru Amerykanie zaprosili radzieckich kolegów do uczestnictwa w doświadczeniu nie po to, żeby udowodnić im istnienie „fenomenu psi”, w co oni nie wątpią od dawna, ale by zademonstrować po raz pierwszy zdalnie sterowane widzenie na odległość około 10 000 mil! Przy tym fakt widzenia łączył się z przewidywaniem.

- Wierzymy - powiedział Russell Targ - że ten pierwszy wspólny eksperyment stanie się początkiem znaczącej naukowej współpracy w tym zakresie, który znajduje się na pierwszej linii frontu nauki.

Dopiero po takich, można powiedzieć, oficjalnych słowach rozpoczęły się eksperymenty. Dżuna jakby zapadła się w siebie. Po chwili zaczęła mówić o tym, co w danym momencie odbierała w swoich myślach. Amerykanie, na przygotowanej aparaturze utrwalali jej zachowanie na filmie, zapisywali każde słowo, starając się zebrać maksymalnie pełną informację.

Prosimi, by Dżuna nie tylko mówiła co widzi, ale i rysowała, przy czym ostatnia propozycja jej, jako malarce-amatorce, bardzo się spodobała. Biorąc do ręki ołówek i kartkę papieru, zaczęła szkicować kontury jakichś widzianych przez nią w podświadomości przedmiotów.

- Dlaczego wasz wybór padł na Dżunę? -zapytałem Russella Targa.

- Poprosiliśmy Dżunę, by wzięła udział w charakterze „widzącej”, z tego względu, że jest ona niezwykle inteligentną i śmiałą kobietą, która często pomyślnie urzeczywistniała nietuzinkowe projekty.

Jeśli do tego wieczoru, mogłem jeszcze wątpić w śmiałość „widzącej”, to po nim takie wątpliwości rozwiały się na zawsze, ponieważ trzeba być rzeczywiście odważnym, żeby oto tak, ni z tego ni z owego, postawić swoją reputację na jedną

kartę, godząc się na tak ryzykowną próbę, z której nie każdy jest zdolny wyjść z honorem.

Razem z amerykańską kamerą wideo pracowała radziecka. Moskiewscy fizycy wykazali poważne zainteresowanie do tak, na pierwszy rzut oka, wątpliwego pomysłu. Najbardziej cieszyło to, że fizycy-teoretycy, chcieli wyjaśnić zdumiewające zjawisko ludzkiej psychiki.

W tym momencie, kiedy rozpoczęło się doświadczenie, Keith spała w swoim mieszkaniu i nie wiedziała, dokąd będzie musiała udać się rano. Także wiedzieć o tym nie mógł nikt z tych osób, które znajdowały się w Moskwie, na Arbacie.

Amerykanie przywieźli ze sobą zza oceanu sześć zapieczętowanych i ponumerowanych kopert z pocztówkami, przedstawiającymi sześć różnych miejsc w San Francisco.

Sześć takich samych kopert, z zapieczętowanymi w nich pocztówkami, miała Keith. Obudziwszy się przy świadkach, z pomocą urządzenia stosowanego w loteriach, „generators przypadkowych liczb” wybrała cyfrę 4. Zatem otworzyła kopertę z numerem 4, w niej znajdowała się pocztówka z widokiem ulicy Pier 39. Pod tym adresem znajduje się karuzela.

Właśnie tu „do karuzeli” przyszła Keith, po upływie sześciu godzin od momentu, gdy Dżuna skończyła swoje niełatwe zadanie i zjadła obiad z gośćmi.

Wykonując w nocy telefon do USA, Amerykanie dowiedzieli się, że Keith była na ulicy Pier 39. Po otwarciu koperty, zobaczyli pocztówkę z karuzelą. Oprócz niej, znajdującej się na pierwszym planie, w tle widać było zabudowę historycznej części miasta z wieżą, dachami domów, tworzącymi gęstą zabudowę.

- A co zobaczyła Dżuna? Oto jej słowa:

- Nieduży plac z czymś okrągłym w centrum.

- Ścieżki kierujące się w stronę placu i łączące się z nim.

- Nieduże domy ze spiczastymi dachami... podobne do zabytkowej zabudowy albo przedmieścia...

- Budynek podobne do siebie i połączone ze sobą.

- U góry widzę zielony okrąg ze świecącą tarczą koło niego...

Chociaż słowo „karuzela” nie padło, określenia, podane przez Dżunę, w jakimś stopniu odpowiadają widokowi na pocztówce, w szczególności, karuzeli: „Okrągłe w centrum”, „zielony krąg ze świecącą tarczą”.

Zachwyty Amerykanów wywołały, jednakże, nie te zacytowane frazy, opisujące ogólny obraz, a konkretne szczegóły obrazu, widzianego przez nią. Jeden z nich Dżuna określiła takimi słowami: - Oko zwierzęcia z profilu i spiczaste uszy.

Drugi szczegół zaś:

- Widzę białą kozetkę albo kanapę.

Otóż one, jak twierdzą Amerykanie, odnoszą się wprost do karuzeli, ponieważ na tej atrakcji była figura konia z wielkim okiem i wystającymi wysokimi uszami. To oko Dżuna nie tylko nazwała, ale i naszkicowała razem z spiczastymi uszami. Była na karuzeli także „biała kozetka albo kanapa”.

Po dwóch dniach przeprowadzono jeszcze jedno doświadczenie z pewną modyfikacją warunków. Tym razem Dżuna opisała inną miejscowość, ale pocztówki po zakończeniu eksperymentu jej nie pokazano.

Amerykanie swój artykuł - sprawozdanie wydrukowali w jednym z czasopism, poświęconych parapsychologii i psychobiofizyce. (PSI RESEARCH, tom 3, numery 3-4, 1984 r.)

Arbitrem była dyrektor programowa w zakresie parapsychologii Uniwersytetu Johna F. Kennedy'ego, Mary Kay Rait-Maler. Ona nie wiedziała, jakie pojęcia odnosiły się do tego czy innego celu. W eksperymencie oceniała każde z 93 pojęć według stopnia ich zgodności z celem.

Przy ocenie posługiwano się ośmiostopniową skalą. Najniższą ocenę - zero - wystawiano, gdy nie było żadnej zbieżności. Jedynekę - kiedy „była tylko bardzo mała zbieżność”, a najwyższą ocenę - 8 - stawiano przy „dobrej zbieżności”, z poprawną, analityczną informacją o charakterystyce, nazwie albo z opisem funkcji. W pierwszym doświadczeniu, najwyższa ocena 8, była wystawiana 18 razy z 33, tj.: więcej niż połowa z całości!

W podsumowaniu okazało się, że liczba zbieżności jest wyższa o 26,8 procent, niż należałoby oczekiwać z przypadkowej zbieżności opisów i celów.

Co jeszcze można powiedzieć o tym pamiętnym doświadczeniu? Amerykanie nie ograniczyli się tylko do artykułu w czasopiśmie. Upublicznili zrealizowany film video, na którym zapisano w całości oba doświadczenia, które komentował z radzieckiej strony fizyk Andriej Wieriezin. Film ten kosztuje 375 dolarów plus dziesięć dolarów, jako koszty przesyłki... Można go obejrzeć w każdym systemie video. Jeśli jakkolwiek organizacja zechce kupić ten film, może otrzymać adres i numer telefonu firmy video, znajdującej się w San Francisco. Podobnego filmu u nas (w Rosji) nie ma.

Russell Targ regularnie bywa w Moskwie. Podczas jednych odwiedzin, przywiózł Dżunie w prezencie artykuł z czasopisma. Służył on nam jako źródło do tego tłumaczenia.

Taki był przebieg obu doświadczeń, które, jak się wydaje, mogą zainteresować nie tylko uczonych, ale i fantastów.

Chcę tu przytoczyć jeszcze jeden epizod z życia Dżuny, związany z jej darem jasnowidzenia. Opowiada o nim Dżuna w swojej książce „Podajmy sobie ręce” (Lecznicze seanse Dżuny. M., 1991)

Zdarzyło to się na planie filmowym „Młodość geniusza”, w którym Dżuna grała niedużą, ale bardzo interesującą rolę młodziutkiej wieszczki Juny. Pod wieloma względami odgrywała samą siebie - przecież jest prawdziwą wieszczką, co nieraz udowodniła podczas kręcenia zdjęć.

Film „Młodość geniusza” poświęcony jest wielkiemu lekarzowi i filozofowi Wschodu Awicennie. Jego realizacja odbywała się w Samarkandii.

„...Pierwszego dnia oglądaliśmy Samarkandę razem ze znanym piosenkarzem i artystą Batyrem Zakirowym, reżyserem Eljerem Iszmuchamedowym, scenarzystą Odelszą Agiszewym i reporterem Dmitriem Czyżkowym.

Weszliśmy do mauzoleum Gur-emira, przy wejściu zdjęłam pantofle i dalej szłam boso po starodawnych kamiennych płytach. Towarzyszące mi osoby zamilkły, ponieważ podniosłam ręce do góry, niczym anteny.

Przede mną był nefrytowy nagrobek Tamerlana, ale czułam, że pod nim jest pustka.

- Tu go nie ma - cicho mówiłam sama do siebie, ale głos mój odbijał się echem po całym grobowcu - on jest daleko... Gdzieś na dole...

Batyr uśmiechnął się nerwowo:

- Masz rację, Dżuno. Tamerlan jest pogrzebany w podziemiach. Ale możemy tam zejść.

Długie schody pogrążone w mroku. Znów mówię sama do siebie:

- On nie jest sam... Ich jest dwoje!.. Jak oni się nie cierpią! Jak im tu ciasno we dwoje, jak im nieprzyjemnie!

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że groźny właściciel grobowca jest pochowany razem ze swoim wnukiem, ale wcale nie z tym, ukochanym, dla którego budował to piękne mauzoleum.

- Oczywiście, ciasno - szepcze Batyr za moimi plecami. Opowiedział mi potem, że los złączył w jednym grobie tyrana, który utopił pół świata we krwi i

wielkiego uczonego-astronoma, który mądrze rządził Samarkandą przez czterdzieści lat i padł ofiarą rozwścieczonych fanatyków.

A tymczasem, odbieram kolejne sygnały i cichutko je rozszyfrowuję: - Jeden ma coś z nogą... No tak, przecież on - kulawy! Drugi ma coś z szyją... (Jak twierdzi historyk, po zdradzieckim uderzeniu szablą, głowa wielkiego Uługbeka odpadła na odległość kilku metrów. Ale o tym także dowiedziałam się później).

Idziemy dalej. Milczę, znajdując się teraz gdzieś w dalekiej-dalekiej przeszłości. Moi współtowarzysze też milczą, widocznie, porażeni tym, co zobaczyli i usłyszeli. Dlatego nikt z nas nie śpieszy się porzucić zalanych słońcem ulic i placów miasta.

Czeka nas jeszcze zwiedzanie „miasta umarłych” - jedenaście mauzoleów Szach i Zinda, które były wznoszone jedno po drugim w epoce żelaznego Tamerlana. Ale, pomimo groźnej nazwy, to najwspanialszy zespół Samarkandy. Nazywają go jeszcze „Żyjący Król” ze względu na mauzoleum Kussama ibn-Abbasa. Jak głosi legenda, ten kaznodzieja islamu, wywodzący się z rodu samego Mahometa, nie umarł, a na zawsze oddalił się do jaskiń, niosąc w rękach swoją własną głowę...

W tym mauzoleum, odebrałam niezwykle sygnały i zwróciłam się do Batyra Zakirowa z niecodzienną prośbą:

- Odmów tu modlitwę!

Batyr zmieszał się. Widocznie, uznał moją prośbę za jakąś zachciankę, ale zgodnie z prawem wschodniej gościnności, w czym nie mógł odmówić gościowi: - Zrobię to, Dżuna, jeśli naprawdę tego potrzebujesz.

Ale zdecydowanie sprzeciwiłam się takiej argumentacji: - Nie, Batyrze. Ty tego potrzebujesz. To miejsce jest związane z tobą. Tymczasem nie wiem, jak i czym związane. Opowiedz o tym swojej matce, kiedy będziesz w Taszkencie.

Po kilku dniach Zakirow pojechał do Taszkentu, z powodu jakichś spraw osobistych i kiedy wrócił, natychmiast odszukał mnie na planie zdjęciowym. Ze wzruszeniem opowiedział mi o rozmowie z matką, która powiedziała mu, że jej rodzice i przodkowie zawsze uważali muzułmańskiego świętego ibn-Abbasa za patrona swojego rodu. Według dawnego obyczaju, kobietę przed rozwiązaniem przyprowadzano do miejsca składania czci świętemu. Z tego powodu, właśnie mauzoleum ibn-Abbasa odwiedziła babka Batyra, oczekując pojawienia się na świat jego matki...

...A ja w ten cudowny dzień kontynuowałam spotkanie z przeszłością, prowadziłam z nią najskrytszą rozmowę.

Pamiętam, że kończąc zwiedzanie Samarkandy, wyszliśmy na znany w całym świecie plac Registan, gdzie z trzech stron patrzyły na nas monumentalne budowle, porażające swą wielkością i pięknem. Średniowieczny uniwersytet - medresa Uługbeka, gdzie studium matematyki prowadził sam wielki mędrzec. Wzniesiony po dwustu latach od zakończenia epoki Timura gigantyczny „Budynek z lwami” - medresa Szer-Dor i „wykończona złotem” medresa Tillja-Kari.

Tu, dla wszystkich, jakby się zatrzymuje czas. Mnie, ze wszystkich stron otaczała przeszłość, stając się prawie namacalną, prawie realną... Czułam, że znajduję się tam i wtedy.

Pamiętam, że przerwałam przewodnikowi: - A co to za przewód kominowy w przybudówce do Tillja-Kari?

Przewodnik, żeby nie obrażać gościa, sprzeciwił się delikatnie, ale stanowczo: - Takie coś jest niemożliwe, Dżuno... To przecież zupełnie inna kultura, zupełnie inna epoka...

Moi współtowarzysze ze zmieszaniem wymienili się spojrzeniami, próbując jakoś uratować mój honor. Ale ja wiedziałam, co mówię: - Ja to widzę – powtórzyłam z uporem. - I zapach czuję, który zwykle unosi się od mocno zadymionej cegły. Tu

mieszkał człowiek innej wiary... około siedemdziesiąt do stu lat temu. – Zamilkłam na chwilę i ostatecznie „dobiłam” trochę zmieszanego przewodnika: - Teraz ten człowiek jest waszą dumą narodową.

Narastał niewielki „skandal” i wtedy Batyr Zakirow zaproponował, by pojechać do medresy głównego muftiego Samarkandy.

- Dżuna ma rację - potwierdził mufti. - Przewodnik, niestety, nie jest w kursie dzieła. Przed rewolucją mieszkał tu rosyjski malarz Nikołajew, który przyjął wiarę muzułmańską. Ogrzewał mieszkanie według słowiańskiego obyczaju i sam zbudował przewód kominowy, który później został zlikwidowany. On jest teraz szeroko znany jako malarz pod nazwiskiem Usto-Mammin.

Moi współtowarzysze wymienili zdziwione spojrzenia, a Batyr roześmiał się zadowolony, pocieszając przygaszonego przewodnika.

Moim przyjaciółom bardzo spodobał się tego rodzaju spacer. Tym bardziej, że Iszmuchamedow i Agiszew okazali się wspaniałymi znawcami środkowoazjatyckiej kultury i historii.

Po ukończeniu zdjęć w meczecie Dag-Bid, któryś z nich poprosił mnie, bym wśród mnóstwa grobów, znajdujących się niedaleko od meczetu, znalazła miejsce najświętsze i najbardziej poważane.

Wyciągnęłam rękę, czując, że dotykam czegoś niewidzialnego w powietrzu, czegoś, co zachowało energię ludzi i czasów, którzy dawno odeszli w niebyt. Uchwyciłam sygnał i po minucie odpowiedziałam: - To tu, trzecie miejsce po prawej stronie w drugim szeregu grobów. Właściwie, nie jest najstarsze i zewnętrznie mało czym różni się od innych...

Moi przyjaciele milcząc pokiwali głowami i któryś z nich znów zadał pytanie: - A możesz powiedzieć, co za człowiek został pochowany obok miejsca, gdzie teraz stoisz?

Musiałam przełączyć się na inne sygnały, żeby odpowiedzieć: - Dawno zginął. Około sześćdziesięciu lat temu... Tak, nie umarł śmiercią naturalną - został zamordowany, chyba... Był bardzo młody. Miał około osiemnastu-dwudziestu lat. Był bardzo energiczny, bojowy, uparty, chociaż lekkomyślny...

Eljer Iszmuchamedow po takiej odpowiedzi tylko przyklasnął w ręce.

Ale i przy realizacji zdjęć zdarzyło się trochę zadziwiających historii. Ja nie wszystko mogę teraz wyjaśnić z tego, co dopiero zostało opowiedziane. No cóż, to można tylko odnieść do „nieświadomego” albo „podświadomości”...

Mój długi okres zdjęciowy kończył się w starożytnej Chiwie. Tu filmowano epizod z Husajnem, który pędzi na koniu, ratując się przed pościgiem. Rolę Husajna grał młody Bachtiar - syn Batyry Zakirowa.

Kiedy Bachtiar był już ucharakteryzowany i przygotowywano mu konia, szybko podeszłam do młodego aktora: - Posłuchaj, Bachtiarze, nie powinieneś dzisiaj brać udziału w tej scenie. Grozi ci nieszczęście. Odmów w tym udziału! Niech zastąpi cię dubler. Jemu niebezpieczeństwo zagraża w znacznie mniejszym stopniu.

Niczego więcej nie wyjaśniałam Bachtiarowi. Po prostu, bardzo wyraźnie zobaczyłam, na kilka chwil przed tą rozmową, jak koń w galopie wypada na kamienisty plac, potyka się na równej powierzchni i jeździec w olśniewającej zbroi pada przez głowę na różowy poranny kurz, a po sekundzie - uderzenie kopytem w serce...

Tego Bachtiarowi nie powiedziałam, ale mój przestrach podziałał na niego i posłuchał mojej prośby. Szybko zaczęto przygotowywać do zdjęć zdziwionego kaskadera. Wzruszył tylko ramionami, wiedząc, że dla Bachtiera, doskonale siedzącego w siodle, przegalopować po równym placu było banalną sprawą.

Rozpoczęły się zdjęcia i obraz, który widziałam chwilę wcześniej tylko ja, powtórzył się na oczach wszystkich. Uciekając przed pościgiem, na plac wypadł

jeździec w oślepiającej zbroi, jego koń niespodziewanie się potknął na równej powierzchni i kaskader wyleciał z siodła w różowy kurz...

Do nieruchomo leżącego chłopaka rzucili się lekarze, starając się przywrócić go do życia. A za nimi także ja, rozpychając tłum, znalazłam się obok rozpostartego na kamienistym placu kaskadera. Nawykowe manipulacje, milczenie, trwanie w oczekiwaniu...

Po piętnastu minutach chłopak już się uśmiechał i opowiadał: - Kiedy koń niespodziewanie w pełnym galopie się potknął i wyleciałem z siodła, to kątem oka zobaczyłem po lewej swojej stronie wielki kamień, w który niechybnie musiałbym uderzyć głową. Wtedy jakimś nieprawdopodobnym wysiłkiem, korzystając z tego, że jedna noga była jeszcze w strzemieniu, uchyliłem się od kamienia, dając nurka pod brzuch konia. W tym momencie poczułem straszliwe uderzenie w okolicę serca... Dalej nic nie pamiętam...

Ostrożnie wyjaśniłam, że on, prawdopodobnie, uratował od śmierci Bachtiaara. Kaskader z początku się obraził: - Dlaczego, Dżuno, pomogłaś Bachtiarowi, a nie zechciałaś pomóc mi?

Jak można najdelikatniej, powiedziałam mu: - Ja nie mam wpływu na zdarzenia. Ale wiedziałam tylko jedno: z groźną i niespodziewaną sytuacją Bachtiar by sobie nie poradził. A ty przecież jesteś kaskaderem, odważnym człowiekiem, przygotowywanym poprzez swój zawód do opanowania w każdej ekstremalnej sytuacji. Tylko ty mogłeś wyjść z tego zwycięsko - i zwyciężyłeś! A przywrócić życie twojemu zatrzymanemu sercu - to już moja troska i mój dług wobec ciebie... Dziękuję ci!

Szczerze mówiąc, opowiadanie o tym ciekawym zdarzeniu, z ust samego kaskadera, usłyszeli potem moskiewscy widzowie, uczestniczący w Centralnym Domu Pracowników Sztuki na przeglądzie fragmentów filmu „Młodość geniusza”.

Dzisiaj Dżuna jest znana nie tylko w naszym kraju. W 1989 roku, była ona uznana za najwybitniejszą kobietę planety. W ostatnich latach odwiedziła liczne kraje świata. Brała udział w światowych kongresach i sympozjach na temat nietradycyjnych metod diagnostyki i terapii, przeprowadzała masowe seanse przy ogromnych audytoriach.

Na XVIII Światowym Kongresie Międzynarodowego Stowarzyszenia Tradycyjnej i Alternatywnej Medycyny, który odbył się w Hawanie, Dżuna została wybrana na stanowisko prezydenta stowarzyszenia, nagrodzona buławą prezydenta i najwyższą medyczną nagrodą - orderem pierwszej klasy Świątyni Jerozolimskiej. Został jej wręczony także dyplom, dający prawo nauczania wszystkich medyków świata w każdym punkcie planety. Ogółem, Dżuna ma 28 międzynarodowych nagród.

W 1989 roku, na posiedzeniu kolegium państwowego komitetu ds. wynalazków i odkryć przy państwowym Komitecie ZSSR ds. nauki i techniki, wręczono Dżunie odznakę wynalazcy ZSSR i autorski dyplom. Tymi nagrodami, Dżuna była uhonorowana za wprowadzenie nowej technologii leczenia choroby hipertonicznej i dystonii wegetatywnej. Cały szereg jej prac, w zakresie efektywnych metod leczenia licznych chorób, jest opatentowany w różnych krajach świata – (Niemcy, Japonia, USA, Austria, Francja, Egipt, Izrael i in).

Działalność Dżuny jest aprobowana przez kościół chrześcijański. Jeszcze wtedy, gdy była nieznana, próbowała udowodnić, że przy pomocy bezkontaktowego masażu można leczyć różne choroby, zaprosił ją do siebie Patriarcha Pimen. W późniejszym czasie jeszcze nie raz przyjmował Dżunę i długo rozmawiał z nią. Władcyka pobłogosławił Dżunie na dalszą drogę i podarował na pamiątkę złoty zegarek „Naira” ze złotą bransoletą, ozdobioną ametystami.



W Watykanie Dżuna spotykała się z Papieżem. O tym spotkaniu tak opowiadała: „Jeszcze w Moskwie przeczuwałam, że na pewno spotkam się z Papieżem i specjalnie dla niego malowałam „Marię Magdalenę”. (Dżuna powinna była pojechać do Rzymu na Światowy Kongres „Tajemnicze zjawiska na ziemi i na niebie”). Nasze spotkanie powinna było odbyć się po mszy. Ale kiedy zbliżałam się do placu, rozpętała się straszna ulewa. Dosłownie zaczęłam błagać: „Boże, jeśli jesteś na świecie, uczyni, żeby deszcz przestał padać”. Proszę sobie wyobrazić, że na pewien czas ulewa ustała. Pomyślnie przemierzyłam plac przed Katedrą i obraz nie został zniszczony. Za chwilę ulewa rozpętała się znowu. Kiedy weszłam do Katedry, Papież zobaczył mnie i życzliwie pomachał ręką. Po mszy podeszłam do niego. Długo oglądał moje ręce. Rozmowa nasza trwała dosłownie 2-3 minuty. Opowiedziałam mu, że z wykształcenia jestem medykiem i podarowałam obraz. On podziękował mi. Obraz, wydaje mi się, spodobał” (cit. z książki B. I. Kuźnika. Dżuna, Wanga i inni. - M., „Radio i łączność”, 1995).

Latem 1991 roku, Dżunie został wręczony paszport światowej organizacji Orbis, która została założona w 1963 roku. Na pierwszej stronie tego dokumentu napisano po angielsku: „Prezydent społeczności, dyplomatycznych przedstawicieli światowej organizacji Orbis, zwraca się do wszystkich dyplomatów, konsuli, przedstawicieli cywilnych i wojskowych z prośbą, o okazanie maksymalnej uwagi okazicielowi tego paszportu i użycie wszelkich legalnych możliwości, z wykorzystaniem również wszelkich dozwolonych prawem reguł, aby maksymalnie pomóc w wykonaniu jej misji bez jakichkolwiek przeszkód”. Podobne paszporty wręcza prezydent społeczeństwa najbardziej znanym ludziom. Jest ich bardzo mało. Dżuna ma paszport z nr 239. Jest jedyną jego posiadaczką w naszym kraju.

W 1991 roku w Moskwie została utworzona Międzynarodowa Akademia Alternatywnych Kierunków w Nauce „Dżuna”. Jej prezydentem została wybrana E. J. Dawitaszwili.

12 stycznia 1993 roku, rada weteranów „na znak wdzięczności za wieloletnią troskę o żołnierzy-Afgańczyków z nadzieją na przyszłą współpracę” nadała Dżunie honorowy tytuł generała-pułkownika służby medycznej z prawem noszenia munduru. Dżuna jest nie tylko uzdrowicielką. Jest też malarką i poetką. Jej obrazy mają głęboki, filozoficzny sens. Do licznych z jej wierszy jest komponowana muzyka. Wydawnictwo „Radziecki kompozytor” wypuściło zbiór „Pieśni Dżuny”, a w wydawnictwie „Kniga” ukazała się miniaturowa książka z jej wierszami, które, chyba, można nazwać „poezją energetyczną”.

Zdrowie ludzi, ich szczęście
- To moja Atlantyda,
Do niej idę,
Światło dalekie
Bojąc się stracić z oczu.
Do niej idę przez nieszczęścia,
Krzywdy, niezrozumienie,
Żeby dobro zwycięstwa
Zajaśniało gwiazdą zaranną.
Do niej idę
przez straty,
Wzbijając się ponad gardłowanie,
Wierząc w dalekie światło
i nie wiodąc z zawiścią sporów.

W tym wierszu nie tylko credo Dżuny, to także, niełatwe życie.

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz